

dyskurs



ŻADAMY DOSTĘPU

DO ŚRODKÓW MASOWEGO PRZEKAZU

Nawet po tylu latach pisanie o tym przychodzi z oporami. Świadomość wydarzeń, jakie miały miejsce w krótkim okresie czasu 2-3 miesięcy 1945 roku, wciąż skrywa się pod obowiązującym /również prywatnie/ tłumaczeniem: "Należało się IM". Zostawmy tę kwestię ludziom, którzy przez 45 lat niczego się nie nauczyli i po prostu przypominajmy fakty, które notabene miały istotny wpływ na sytuację zastaną przez nas na Ziemiach Odzyskanych.

Co działo się na wschodnich terenach Rzeszy, po tym, gdy zwycięskie czołówki Armii Czerwonej pokonały kolejny opór Niemców, zanim przybyli tam polskie władze? W ślad za szarżującymi czołgami wchodziły na zdobyte tereny tzw. "oddziały zabezpieczenia" - "drużyny opokozanijskie". Ich funkcje można by określić jako zorganizowane "jednostki grabieżcze". Wyposażone w amerykańskie ciężarówki i podstawowy sprzęt /palniki acetylenowe itd./, przystępowały do systematycznego demontażu i wywozu mienia Rzeszy. Władze hitlerowskie bynajmniej nie stosowały na swych terenach taktyki "spalonej ziemi" - przeciwnie, do końca starały się utrzymać propagandową "normalność" życia.

Zresztą na nic nie było już czasu. Zatem na wschód dążyły pociągi wyładowane urządzeniami fabryk, elektrowni, dźwigami portowymi, ba - torami z rozbieranych linii kolejowych. Wiele miast, dawniej węzłów komunikacyjnych, pozostawało teraz prawie bez połączeń /Orneta, Lidzbark Warmiński, Łęgorzewo/. Zdemontowany został system elektryfikacji dolnośląskich kolei, dopiero po 40 latach wrócił /prawie/ do ówczesnego stanu. Stalin zarządzając tę wielką akcję grabieży, doskonale wiedział komu przypadną te ziemie, kto skorzysta z mienia poniemieckiego. Jaka stwierdzała wyraźnie, iż Polska przejmie wyznaczone tereny "wraz z całym majątkiem hitlerowskich Niemiec bez rekompensat".

Naooczny świadek z Elbląga opowiadał o górach maszyn do pisania, tekstyliów, mebli, garnków piętrzących się na ulicach miasta, oczekujących w śniegu i deszczu na wysydkę. Tak było wszędzie. Prywatny rabunek żołnierski stanowił wobec tego drobną chałturkę. Wraz z rabunkiem postępowało systematyczne niszczenie "germańskich miast". Ciekawym jest fakt, że postępowało zawsze w ten sam deszcz: po wstępnej grabieży i "obróbce" ludności cywilnej, o czym niżej, następowało palenie centrum miasta, zwykle rynku z przyłgłościami, zostawiano peryferie i dworzec kolejowy. Czasem palono i wszystko, jak np. miasteczko Pieniężno, jako "stos pogrzebowy" poległego opodal gen. Czerniachowskiego.

Gdańsk, całe zabytkowe centrum, puszczony został z dymem dn. 3.05.1945r., miesiąc po wyzwoleniu. W ówczesnej kronice filmowej pokazywano zdjęcia palącego się miasta z komentarzem: "Gdańsk płonie. Tak chciało przeznaczenie". A w tym wszystkim trwali zwyczajni ludzie.

Masowa ucieczka ludności z Prusach Wschodnich spowodowana została wieściami o masakrze we wsi Nemmersdorf /okolice Nidzicy/- pierwszej zajętej miejscowości na terenach Rzeszy. Tyśiące ludzi zamarzyło na drogach, potopiło się w łodach Zalewu Wiślanego. Największe w historii katastrofy morskie /15 tys. ofiar/ przyniosło storpedowanie "Gowi" i "Wilhelma Gustloff" w okolicach Rozewia. Statki zapchane były rannymi, uchodźcami z Prus Wsch. i Gdańska. Oczywiście w tym miejscu zapali się być może światło w podświadomości - "ale ONI też nie byli lepsi...". Tak, ale my po prostu rejestrujemy fakty.

Ci, którzy zostali oczekiwali na niewiele lepszy los. Pojmanych Volksturmistów - "pospolite ruszenie" tj. młodzi i starcy, Rozjanie rozstrzeliwali na miejscu. Prawie każde stworzenie, przypominające kobietę, musiało się zapoznać z tężyzną fizyczną Wschodu - słowa "Frau, komm" i "Dawaj", wystarczały do zupełnego zrozumienia

się cywili z żołnierzami. Z opowieści rodzinnych pamiętam obrazki całych czered rocznych "Niemczaków" (Kołobrzeg 1945r.) o wyraźnie nie-aryjskich, a wręcz mongolskich rysach, których zastali pierwsi osadnicy. Poza tym mogli zginąć każdy: członek NSDAP i podejrzany, biegnący lub stojący, oporny lingwistycznie, zadenuncjowany przez sąsiada, zwłaszcza na pograniczu o mieszanej ludności akty "rewanżu dziejowego po sąsiedztwie" zdarzały się często.

Z jednej strony Rosjanie nie urządzali zaplanowanych akcji eksterminacyjnych, zaś z drugiej strony skala represji została rozkręcona najwyraźniej celowo, by złamać "ducha niemieckiego" na terenach, które Jalta przeznaczyła Polsce. Trzeba przyznać, że był on wyjątkowo słabo zahartowany, - wojska rosyjskie gościły na tych terenach ostatni raz w początkach XVIII wieku, ostatnia wojna odbyła się w 1807 r.!

Z fali dokumentów, które powstały po wydarzeniach 1945 r., warto wyłowić te, które wyszły spod pióra świadków "z naszej strony". Jednym z nich był A. Sołżenicyn, wówczas oficer art. w Prusach Wschodnich. Właściwie zamiast znużonego opisywania historii, mógłbym zacytować kilka fragmentów z jego "Pruskiej nocy". Niech sterczy ten wiersz. Autor wraz z II Frontem Białoruskim zdobył Nidzicę:



Przez dym i przez popiół
Ciągą zdobywcy Europy
Ciężarówkę wiążą łup:
Odkurzacze, wino, buty
Graty, obrazy i ciuchy
Bluzki, garnki, broszki, dzwonki
i maszyny z obcą czcionką
Ser, kiełbasę i słoninę
Wszystko, co się dało wynieść
I widelce i firanki
Łyżki, spinki, szklanki, kłamki
(...)Hörringstrasse zwei und zwanzig
Tu już byli. Przed kwadransiem.
Jęk zza ścian - matka płacze
Córeczka na materacu
Jeszcze dziecko. I już trup.
Jasna sprawa, proste słowa:
Nie zapomnieć, nie darować!
Ząb za ząb i krew za krew.
Z dziecka - babę, babie - śmierć
Na twarzy matki krew. I szloch.
Prosi: tote mich, Soldat! (zabij mnie
żołnierzu)

(...)Ni - nie zdoła nas powstrzymać
Do Olszyna! Do Olsztyna!
Od godziny jest już nasz
Zdobyty przez czołgi z marszu.
Miasto czeka. Jeszcze całe
Nietknięte jeszcze pozorem
czeka w strachu na swój los.
(...)Rośnie strach i rośnie łuna
Ostry dzwonek. Łomot w drzwi
Jakiś brzęk - to szyba pękła
Potem tupot, za kimś biegą
I kobiecy krzyk po chwili:
Jestem Polką, a nie Niemką!
A im tak i wszystko jedno
Jest okazja - to korzystaj
Frajer straci, mądry zyska
Tak to jest, więc czemu serce
ściska Cię i boli?

I to już koniec. Wojna się odbyła,
kraje i ludzie zabliźnili swe rany.
Nad wszystkim, jak monumentalna pieczęć,
stoi w Berlinie pomnik radzieckiego
gieroja, piastującego na rękach
małe, niemieckie dziecko.
I właściwie jest to jedyna prawda.
Oni rzeczywiście bardzo lubili dzieci...
A zwłaszcza ON."

Coraz częściej w prasie naziennej i podziemnej pojawiają się artykuły na temat sytuacji w ZSRR widzianej oczami turysty z Polski. Dobrze, że przychodzi na ten temat swoista moda. Należy uważnie patrzeć na to co dzieje się za naszą wschodnią granicą, gdyż obserwacje mogą być bardzo przydatne w ocenie sytuacji w Polsce, a także w przełamaniu pewnych schematów jakie powstały w naszych umysłach, dotyczących obrazu Rosji i obywatela sowieckiego.

Pojechałem do ZSRR z pragnieniem przekonania się na własne oczy na ile postąpiła już "głębokość" i "piętrostojka". Wrażeniami z kilkudniowego pobytu pragnę podzielić się z czytelnikami "Dyskursu".

Już przy przekraczaniu granicy w Brześciu, uderzyło mnie "chamstwo" w zachowaniu radzieckich służb granicznych. Tam najmniejsza władza jest już powodem do patrzenia "z góry" na wszystkich innych "niżej". Zołnierz siedzący w budce granicznej zamiast podejść, aby sprawdzić dokumenty /jak to jest nawet na polskiej stronie/, wywołuje z daleka palcem i każe przyjechać do siebie. Jechaliśmy samochodem w dwie rodziny tzn. dwóch mężczyzn, dwie kobiety i dwoje dzieci. Zołnierz odrzucił sześć paszportów niezadowolony, że podeszło do niego tylko dwóch mężczyzn. Próbowaliśmy mu tłumaczyć, że dzieci śpią na rękach żon w samochodzie, bo już środek nocy. Na nic to się zdało, trzeba było wywlekać rozszalone dzieciaki z ciepłego wnętrza samochodu na lodowate powietrze i pokazać ich twarze niezadowolonemu "po granicznikowi".

Następnie rozkazano nam iść na odprawę celną, gdzie po wypełnieniu szczegółowych formularzy, grubo jękość w mundurze radzieckiego celnika wypytująca wyryki co wiziemy, po co i dla kogo. Najbardziej czujny wzrok miał przy pytaniach o artykuły z "Perekusu".

Odprawa trwała w sumie około godziny i kiedy później opowiadałem radzieckim przyjaciółom o całej tej historii bardzo się dziwili, że tak łatwo i szybko udało nam się wjechać do Kraju Rad.

Za granicą przywitało nas wyjątkowo trzęsienie /ale nie ziemi/ w samochodzie spowodowane fatalnym stanem dróg. Owszem, niektóre odcinki mają dobrą nawierzchnię, ale większość to asfalt z dziurami, "kocie łby" /pamiągające "burżuazyjną Polskę/ lub po prostu błotniste wertepy, na których prędkość 40 km/h jest za duża.

Jechaliśmy do Pińska miasta nad rzeką Piną w Białoruskiej SRR, liczącego około 120 tys. mieszkańców, położonego na wzgórku pośród pól, bagien i lasów Polesia. Przy wjeździe do starego grodu przy moście zauważyłem w budce jakąś postać. Pytam więc moich radzieckich przyjaciół po co ten ktoś tam stoi? Zupełnie poważnie informują mnie, że jest to żołnierz, który pilnuje mostu. Most jest bowiem bardzo ważnym obiektem o znaczeniu strategicznym.

Mieszkanie naszych przyjaciół mieści się w jednym z dużych bloków nowego osiedla. Ich mieszkańcy nie kryją dumy z tego, że nie żyją już na wsi, ale w nowych - nowoczesnych blokach. Kilka pokoi zajmuje cała rodzina tzn. trzy pokolenia, a oprócz tego w jednym z pokoi żyją dodatkowo lokatorzy, t.j. ci co czekają na nowe mieszkanie. Ciężkość z powodu dużej ilości mieszkańców daje poczucie, że duże i wygodne mieszkanie jest w istocie izbą w jednym niewielkim domku, w którym wszyscy wiedzą o sobie wszystko.

Nasi gospodarze są bardzo serdeczni i mili. Goszczą nas dosłownie "czym chata bogata". Wielokrotnie przekonam się podczas mojego pobytu, że w stosunkach prywatnych Rosjanie, Białorusini, czy Ukraińcy, to wylewni i serdeczni ludzie. Można z nimi rozmawiać o wszystkim, ale tylko w rozmowie "sam na sam" są szczerzy i bezpośredni.

Następnego dnia jedziemy na wieś do matki naszego gospodarza. Słowo wieś oznacza tu jednak coś innego niż np. w Polsce. Tu wieś jest zespołem starych i nowych domków, które są przeważnie własnością kołchozu. Pola uprawne stanowią jeden wielki i niepodzielny obszar uprawy dość dobrze zmeliorowany, ale stosunkowo o niskiej kulturze agrarnej.

Na wsiach zdominowanych przez system kolektywny wybudowano wiele pawilonów handlowych, w których zaopatrzenie w towary i artykuły przemysłowe wydaje się być lepsze niż w mieście. Ale jak się później okazuje jest to tylko pozorne, gdyż tzw. "deficyty", czyli rzeczy trudno dostępne /telewizory, sprzęt elektryczny itp./ mogą nabywać albo uczestniczyć wojny, albo ci, którzy odstawia określoną ilość mięsa, jajek, drobiu itp.

Ekzotycznie wyglądała scena w wiejskim sklepie, kiedy kobieta przyniosła w lnianym woreczku kilkadziesiąt jajek, a w zamian sprzedawca zezwolił jej na zakup importowanego



świecącego. Taki system jest oczywiście doskonałym bodźcem do różnego rodzaju spekulacji, przekupstwa itp. Pytanie jakie się tu rodzi jest oczywiście skierowane na problem moralności. Co jest w istocie najpierw nieetyczne: panujące prawa i zasady, czy też życiowa zaradność ludzi?

Dom naszych znajomych znajduje się na skraju niewielkiego lasu. Za szopą, w której właściciele trzymają prywatną własność tj. kilka świń, dorodne króliki i kury.

Wewnątrz drewnianej chałupy w głównej izbie, w rogu na ścianie ikona przyszyta tkaninami w ludowe wzory. Po drugiej stronie za szkłem kredensu zdjęcie swata w mundurze wojskowym, a poniżej portret Stalina - reprodukcja fotograficzna w kształcie owalu, w ceratowej oprawie, na kartonie. Wokół głównego portretu szereg mniejszych zdjęć: Stalin z synem, Stalin z Kalininem, Stalin w gabinecie, Stalin w młodości, Stalin z żoną, Stalin w Gruzji itp... Razem 14 małych zdjęć. Jedno duże w środku.

Przy białoruskim kapuśniaku rozmawiamy o pracy na roli. Gospodyni zdradza, że ludzie nie pracują tak jak powinni. Dużo jest niedbalstwa i marnotrawstwa. Wiele zależy od naczelnika kołchozu. Ten obecny jest złym gospodarzem. Dowiaduję się przy okazji o młodym inżynierze, który niedawno przyjechał tu z Leningradu. Wykształcony, pełen energii i dobrych chęci natknął się na atmosferę marazmu i korupcję miejscowej biurokracji. Napisał list do "Prawdy", który został opublikowany. W liście tym nakreślił straszliwy obraz pracy i zarządzania kołchozem. Przyjechała komisja, zbadali sprawę i nie dostrzegli żadnych uchybień. Nadużycia finansowe dyrektora kołchozu publicznie "odszczekał" główny księgowy. Naród jest bierny i niechętny do jakiegokolwiek formu protestu. A sprzysja temu chyba fakt, że nieźle można żyć pracując w kołchozie i dorabiając na skrawku ziemi lub hodując na boku własne świnię, króliki, czy drób.

Z "pierestrojki" robi się złośliwe żarty. Gorbaczow jest nie lubiany tu na prowincji. Najbardziej za złe mają mu walkę z pijącymi wódkę. Jako przykład absurdu wypełniania poleceń z góry podaje się

ten o zamykaniu w izbie wytrzeźwień każdego napotkanego na ulicy osobnika, od którego czuć było alkohol. Jeszcze dwa lata temu milicja woziła złapanych na ulicy pijaków po wszystkich miejscach publicznych i wyczytywała przez głośniki nazwisko "przestępcy". Coraz częściej okazywało się, że ów pijak i złoczyńca to zasłużony działacz partyjny, kierownik, przewodniczący komitetu osiedlowego itd... W końcu zaniechano tych praktyk.

Lepiej alternatywy dla spędzania wolnego czasu niż picie wódki praktycznie nie ma. Telewizja serwuje prawie same radzieckie filmy. Większość z nich dotyczy okresu rewolucji i wojny. Pozytywni bohaterowie filmów są zawsze zaangażowani w walkę o przetrwanie ZSRR, w walce z wrogami ludu, z kontrrewolucją, a w wypadku filmów współczesnych w walce z korupcją i przejawami nieuczciwości. Chodzi oczywiście o nieuczciwość poszczególnych osób, gdyż sam system jest przecież dobry. Jakże mogłoby być inaczej skoro u źródeł powstania tego systemu byli tak wspaniali ludzie jak Lenin, Kalinin, Dzierżyński i wielu innych.

Imię Lenina jest obecne dosłownie wszędzie. W pracy, w domu, w szkole, na ulicy i ... nawet w ubikacji, gdyż z braku papieru toaletowego używa się gazet, które następnie wrzuca się do kosza obok maszyny klozetowej. Po oczywiście aby uniknąć zapchania rur kanalizacyjnych. W zamian uzyskuje się duszący efekt zapachowy. O tyle to dobre, że odchodzi ochota na dłuższe siedzenie i czytanie gazet.

Poza tym w zakładach pracy i tak przypominają, że "roboty czeka". Przypominają w sposób bardzo sugestywny. Umieśniony mężczyzna w roboczym kombinie wskazuje ręką lekko uniesioną w górę i wyprostowaną na jakiś nieokreślony punkt. Ponad ręką namalowany jest napis: "Robotniku praca czeka". Po na wypadek zagadania się w grupie kolegów.

Rzeczywistość wbrew hasłom i deklaracjom jest mocno odmienna. Niemniej jednak w świadomości rosyjskiego robotnika jest wpisany przymus pracy. Praca jest nieodłącznym atrybutem życia i aktywności. Może się ktoś oburzyć, że przecież wszędzie tak jest i tak być powinno nawet z teologicznego punktu widzenia. Cóż, trudno tu dyskutować, ale człowiek, który przyjeżdża z zachodu, który już otarł się o pewną kulturę polityczną i społeczną, odczuwa delikatną różnicę między pracą, a tym co Rosjanie nazywają "robotą".

Słowo roboty dochodzi do uszu przewoźnika w szynce. W miejscach publicznych i w rozmowach prywatnych. Stał element każdej rozmowy, jakby temat dyskursu. Słowo to odmieniane jest przez wszystkie przypadki i we

wszystkich możliwych kontekstach. Czy jednak przez to Rosjanie lepiej pracują? Wątpię.

Myślę, że praca nie kojarzy się tam z działalnością, twórczością, aktywnością życiową. Tam przynajmniej gdzie ja byłem odczuwałem wyraźnie niewolniczy, zniewalający charakter "roboty". Czy w języku rosyjskim jest odpowiednik polskiego słowa praca? U nas przecież "roboty" oznacza pracę tylko w jej potocznym charakterze. Robotę trzeba odwalić, bo albo każą, albo jest to niezbędne do życia. Natomiast tam słowo "roboty" jest wpisane w system - system zniewolenia. U nas słowo praca ma też filozoficzne, a nawet teologiczne znaczenie. Bóg wykonał pracę.

W języku rosyjskim w Biblii mówi się o "dziele", "twórczości", "tworzeniu". Takie słowa nie weszły jednak do potocznego języka rosyjskiego. A może zostały z niego wyrzucone przez siedemdziesięcioletnią edukację ateistyczną? Albo jest to cecha immanentna narodu, albo jest to cecha pewnej mentalności niewolniczej? Rozważania można by tutaj snuć w nieskończoność.

A jaka alternatywa dla czasu poza "robotą"? Rosjanie chodzą czasem do kina. Znajomi zaprosili mnie akurat na film do kina. Kupili bilety /po znajomości/ na "bardzo dobry film".

Film był "przebojem sezonu", a kino pełne ludzi. Jak się okazuje na filmy dla dorosłych chodzą rzeczywiście dorośli. Nie to co u nas - sama młodzież, niedorośli.

Tytuł filmu - "Nazywają mnie Arlekin". Rzecz o młodych chłopcach z przedmieścia /Grodna/, którzy z osobistych pobudek postanawiają zwalczać wszelkie objawy zachodniego stylu życia, ubierania się i ideologii. Obcinają na ulicy włosy jednemu wznawcy kultu Kriszny. Biją "hardcore-metalowców", zabierają deskorolki młodym zwolennikom tego sportu. Są przy tym bardzo szlachetni, wysportowani, nastawieni na podtrzymanie "narodowego ducha", no i przede wszystkim biedni, w odróżnieniu od swoich przeciwników, którzy chodzą w modnych ubraniach, słuchają muzyki z nowoczesnej aparatury, prześiadają w kawiarniach itd., itp.

Ostatnia scena z filmu ukazuje krzywdę jaką zwolennicy zachodniej kultury i sposobu życia wyrządzają bohaterowi - tytułowemu Arlekinowi.



Arlekińskie pobity i zniekształcony placze i przeklino, a na jego ^{tworzy} maluje się apel - zawołanie do widzów, aby... no właśnie. Arlekińskie przypomina tutaj matkę, którą ~~on~~ został zabity przez Niemców, a która woła o pomstę i brak litości dla wroga. Ludzie wychodzą z kina pozostawiając na podłodze mnóstwo łupin po pestkach, których skubanie jest tu wpisane w styl życia i zachowanie.



Czas wolny można spędzić w domu, ale można też wyjść. Na przykład do kościoła lub do cerkwi. Niewiele osób tam chodzi, ale jak się dowiaduję ostatnio liczba wiernych w kościołach zaczyna wyraźnie rosnąć.

Nie jest to jeszcze wyraźna alternatywa dla państwowej ideologii. Brakuje w takich właśnie miastach jak Pińsk silnej inteligencji i wzorców życia opartych na tradycji chrześcijańskiej. Zresztą tego jak przypuszczam brakuje w całym ZSRR, ale może widać to ostrzej w niewielkich miastach Białorusi, Ukrainy, Rosji...

Pierestrojka przyniosła znaczne zmiany w stosunku do kościoła, chociaż zbyt wyraźnie tego w Pińsku nie widać. No, przesadzam zmieniono napis tablicę przy ruchliwej ulicy, gdzie najwygodniej przechodzić na drugą stronę. Dawniej było: "Tędy przechodzą tylko świny", dziś: "Przejdźcie 20 metrów dalej". Jakby nie prościej było przystosować ulicę do ludzkiej wygody i nawyku. Ale tu większość przepisów wymaga przystosowania się ludzi, dlatego wychowują siebie nawzajem, krzyczą na siebie, zwracają sobie uwagę.

Ale wróćmy do religii. Postanowiłem w niedzielne przedpołudnie udać się na mszę św. do jednego na Polisie czynnego Kościoła katolickiego. W latach dwudziestych Pius XI utworzył tu biskupstwo. Obok Katedry w starych budynkach klasztorowych franciszkańskich mieściło się przed wojną Seminarium Duchowne /wyższe/, z prawami uczelni państwowej. Seminarium ukończył w 1939 roku obecny proboszcz Katedry ks. Prałat Kazimierz Świątek.

Życie tego kapłana odzwierciedla dramat tych ziem, stosunków polsko-radzieckich i ludzi, którzy przeszli prawdziwą gehennę. W czasie panowania bolszewików po 18 września, ks. Kazimierz naraził się władzę sowiecką i w 1940 roku dostał się do więzienia. W 1941 roku skazany na karę śmierci przebywał kilka miesięcy w więzieniu w Brześciu /notabene wybudowanym przez Polaków tuż przed wybuchem wojny/. W jednoosobowej celi śmierci oszukiwał swojego kołosa, słysząc co noc jak wyprowadzają innych. Pierwej noc nie wyprowadzono skazanca, a w więzieniu słyszał było słyszał strzały i sam pędzących motocykli. Przyszli Niemcy. Z więzienia wydostał się dzięki ludziom z miasta, którzy po opuszczeniu więzienia przez obiadę, postanowili szybko uwolnić wszystkich politycznych. Kryminalni sami sobie pomogli, gdyż byli w celach zbiorowych. Żum i hałas z więzienia słyszał było w całym Brześciu.

Podczas okupacji hitlerowskiej pracował ks. Świątek jako kapłan parafii angażując się w pomoc dla AK. Zaliczył za to pobyt w więzieniu Gestapo. Po "wyzwoleniu" w lipcu 1944 roku natychmiast aresztowano go NKWD. Oskarżony o współpracę z polskimi nacjonalistami oraz z hitlerowcami został zesłany na 10 lat do radzieckich łagrów. Większość czasu spędził w Workucie. W 1954 roku wraca do Pińska. Nie ma tam już od 6 lat kapłana, a ludzie przychodzący na nabożeństwa, sami odmawiają liturgię mszalną przy zapalonych świecach i otwartym nizałem na ołtarzu.

Postanawia zostać "na posterunku" i trwa tam już ponad 30 lat. Świątek proponuje mu przeprowadzenie wyjazdu zżyma się i odmawia. "Człowiek jest zrobić z kogoś bohatera, gorzej wręcz. Uważam, że byłoby to nieprawdopodobne, żeby ze mnie zrobiono heroja, a mieliby powód do usprawiedliwienia."

on to przecież bohater, a ja zwykły człowiek". Ksiądz Świątek obruszył się kiedy zobaczył notatkę o sobie w "Tygodniku Powszechnym"/nr. 51-52/ "Przecież takie stawianie sprawy - lansowanie bohatera - powoduje, że inni znajdują dla siebie usprawiedliwienie". Opowiada jak wielkie potrzeby ma Kościół w ZRR. Brakuje kapłanów. Putaj trudno być księdzem. Ludzie mają kompleksy, wstydzają się swoich przekonań. Proboszczem jest się na przestrzeni tysięcy kilometrów. Kiedyś przyjechała staruszka - opowiada ks. Kazimierz, aż z Uralu, 7 tysięcy kilometrów i zwraca się do mnie: "Księżo Proboszczu". No cóż, wobec tego jak mam traktować tych, którzy pokonują odległość tysiąca kilometrów? Tak jakby przyjechali z odległej dzielnicy miasta? Ksiądz się śmieje i pokazuje swoje zdrowie /jak na 74 lata/ - zębami.

Na niedzielnej mszy niewiele osób. Głównie starsze kobiety. Kazanie jest bardzo "ostre" jak na tamte warunki. Mam wrażenie, że słucham w Polsce księdza w latach sześćdziesiątych. Śmiało poruszenie sprawy cierpień i prześladowań ze strony władzy, każe rozejrzeć mi się po twarzach słuchających i poszukać w nich śladu uznania dla duszpasterza. Znajduję tylko obojętność. Może to maska?

Przy wyjściu z Kościoła wpadają na mnie dwaj rozwijscy chłopcy. Jeden mówi do drugiego: "Choć, nie bój się, to lepsze niż muzeum". Wchodzą, rozglądają się z otwartymi ustami. Wymieniają uwagi i spostrzeżenia, słuchają przez chwilę muzyki organowej i wychodzą.

Coraz częściej księża katolicy w ZRR spotykają się z młodymi ludźmi, którzy przychodzą i pytają jak zostać duchownym. W niejednym wypadku to pytanie kończy się po 7 latach tajnym wyświęceniem. Jak? Tego ks. Świątek nie opowiedział. Może kiedyś przyjeżdżę do Pińska i młody duchowny opowie mi jak doszedł do kapłaństwa? Może już niedługo nie będzie to sprawa konspiracji?

Póki co, wychodzę na ulicę i spotykam kilku podchmielonych młodzików, którzy uważnie obserwują opuszczających Katedrę. Jest chłodne południe. W Kościele nie ma ogrzewania, prze-marziłem. Najchętniej napiłbym się ciepłej herbaty. Naprzeciwko Katedry mała kawiarenka. Jak się później dowiaduję od moich przyjaciół, jest to jedyny prywatny lokal na Polesiu. Jak mu się udało przejąć biurokrację? Kolejna tajemnica. Herbaty wprawdzie w kawiarence nie ma, ale jest za to doskonała kawa, przyrządzana specjalnie przez właściciela. Piję kawę i myślę jak daleko w Polsce zaszedł z wywalczaniem sobie swobód. Przypomina się obrazowe porównanie użyte przez ks. Prałata. Kiedy wracał z łagru do zachodniej części ZRR, wysiadł z pociągu już w Europie i poczuł nagle, że płuca łapią jakieś niewyobrażalnie wielkie hausty powietrza. Musiał dłuższą chwilę stać i uczuć się na nowo oddychać, gdyż powietrze na wschodzie, na Syberii, w tajdze, w tundrze jest po prostu rzadsze. Tam ludzie głęboko wciągają w płuca powietrze, aby wychwycić jak największą ilość tlenu. W części europejskiej można oddychać lżej i płycej. Opowiedział mi to ksiądz, aby zobrazować stan ludzi dzisiaj w ZRR. Oni uczą się na nowo normalnie oddychać.

Mariusz
Maszkiewicz

LOS Y

1. W latach pięćdziesiątych, w pełnej Akademii Rolniczej pracował docent W. Prowadził badania dotyczące wpływu pierwiastków promieniotwórczych na wzrost roślin. Jednym z jego asystentów był mgr N. Ponieważ mgr chciał szybciej zostać doktorem, oskarżył docenta W. o sprzeczność jego teorii z założeniami genetyki Wielkiego Łysenki. Sprawę rozpatrzyła organizacja partyjna, opinię negatywną dla docenta W. wystawił sam Wielki biolog radziecki. Docent W. został usunięty z uczelni, a jego żona porzuciwszy naukowego bankruta, została z mgr N. Docent W. nigdy już nie wrócił na uczelnię. Jego konkurent N. w latach sześćdziesiątych został mianowany profesorem. Niestety w 1968 roku wydało się, że ma pochođenje nie takie jak trzeba. Wyjechał z żoną /byłą docentową W./ do Wiednia, stamtąd do USA, gdzie kontynuował karierę naukową.

2. Na zdjęciu trójka przyjaciół. Zdjęcie stare z epoki Wielkich pochodów. Trzech nastolatków w czerwonych krawatach, nad nimi transparent - "Nie ma miejsca między nami Mikołajczyk z bandytami". Trzech kolegów z ZWM. Obecnie jeden z nich pracuje w Kanadzie /wyjechał po 68 r./, drugi należy do aktywnych działaczy opozycji. Trzeci na łamach "Trybuny Robotniczej" konsekwentnie powtarza stare hasło /tylko Mikołajczyka zastąpił Wałęsa/.

3. Repatriował się z Francji razem z rodzicami w 1945 roku. W kraju dostał pracę w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, jako strażnik w areszcie śledczym. Nie znał dobrze języka, nie orientował się w krajowej sytuacji. Wierzył cały czas, że pilnuje gestapowców i zbrodniarzy. Dopiero w czasie "odwilży" dowiedział się kogo naprawdę pilnował. Ponownie do aresztu trafił w grudniu 1981 roku. Nie jako strażnik, ale jako internowany działacz "Solidarności".

4. Losy ludzkie... Konfederat barski na starość w Targowicy, były targowiczanie poległy pod Moskwą jako jeden z "Wielkiej Armii", Traugott w młodości walczący z powstańcami kaukaskimi... Meandry polskich losów, losów ludzi od ponad dwustu lat pozbawionych własnego Państwa.

5. Żywot Antoniego L. to rzadki w obecnych czasach przykład konsekwencji w realizowaniu swojej drogi życia. Jako szesnastolatek ucieka z domu, wstępuje do Legionów. Po kryzysie przysięgowym internowany w Szczyplornie. Powrót do służby już w wojsku Niepodległej. Za wojnę z bolszewikami udekorowany krzyżem Virtuti Militari. Zdemobilizowany w 1922 roku w stopniu porucznika. W 1926 r. z entuzjazmem wita przewrót majowy, powrót do władzy ukochanego Komendanta. Zamiast jednak wzorem innych "legunów" robić karierę, drze koty z władzą powiatową zarzucając staroście karierowiczostwo. Kampania wrześniowa. Zmobilizowany w stopniu porucznika walczy pod Mokrą. Udaje mu się uniknąć niewoli i już w 1940 roku trafia do ZWZ. Awansowany do stopnia kapitana zajmuje się szkoleniem młodzieży. Ciężko ranny w sierpniu 1944 r., gdy wraz ze swym oddziałem szedł na odsiecz Warszawie. W lutym 1945 r. aresztowany przez NKWD. Wywieziony do Kaługi wraca w 1947 roku.

Wracając ze Związku Radzieckiego Antoni L. ma już ponad czterdzieści lat. To co ma na sobie stanowi jego jedyny dobytek. Jego stare mieszkanie zajęli kwaterunkowi lokatorzy. Po tak wielkiej lekcji historii, chyba każdy przyjął by jeden życiowy program - święty spokój, by w spokoju doczekać zgonu. Może każdy, ale nie Antoni L. W 1951 roku trafia do polskiego tym razem więzienia. Zarzut - "oskarżony Antoni L. w miejscu publicznym, wobec zgromadzonych osób, obraził najwyższe władze Rzeczypospolitej mówiąc "p...ię Was, p...lone bieruty". Za to skazano

go na pięć lat więzienia. Akt oskarżenia pomija okoliczności. Owe słowa padły z ust Antoniego L. na otwartym zebraniu pracowniczym. Chciał wówczas powiedzieć publicznie o traktowaniu AK-owców, upomnieć się o tych co pozostali na zesłaniu. Mówił, że obowiązkiem Partii, jeżeli nazywa się polską partią, jest walka o wszystkich Polaków. Odebrano mu głos, siłą usunięto z zebrania: w trakcie szarpaniny skłął wszystkich jak szewc /między innymi od p...nych bierutów/. Wyrok pięciu lat odsiedział w całości. Wyszedł w 1956 roku. Znajomy adwokat proponował wystąpienie o rehabilitację. Czas już bowiem nastał taki,



że prawie wszystkich żywych i martwych rehabilitowano. Antoni L. uniósł się honorem - dla niego rehabilitacja nastąpi, gdy władza tych wszystkich p...lonych bierutów. Zebrać o łaskę nie zamierzał, wzgardził więc możliwością uzyskania odszkodowania i w wieku sześćdziesięciu lat znów musiał życie zaczynać od zera. Łata sześćdziesiąte miały być dobrymi latami dla co niektórych kombatanów. Rozwijał się prężnie koło ZBOWiD-u. Kombatancki przywódca Moczar lansował nowe hasło - nas żołnierzy z lasu nie nie dzieli, co innego reakcyjne środowisko AK, a co innego my chłopcy z lasu. Na spotkaniach przy ogniskach bratali się dawni AL-owcy z AK-owcami. Już nie było mowy o "karłach reakcji", była to dla wielu szansa

na wygodną normalizację życia. Antoniemu L. wstąpienie do ZBOWiD-u proponował kolega z ZWZ. Wysłuchał cierpliwie propozycji, po czym ją prześledził listę członków koła. "Co - powiedział z właściwą sobie werwą - to są ci bojownicy. Proszę bardzo, ten to chyba węgiel kradł, a nie walczył, a ten to walczył, ale z naszymi, - ten to ponoć był w AK, ale kto o nim słyszał. A ta świnią Z. w 1945 roku wypalał chłopaków przed NKWD." Tak powiedział, a mało tego rozpoczął akcję obrażowania "bohaterów" ze ZBOWiD-u. Wszędzie, gdzie mógł, do Zarządu Głównego, do Mazurkiewicza, do redakcji gazet wysyłał listy negujące zasługi bojowe, co niektórych działaczy Związku Bojowników. Ba, kilkakrotnie zakłócił jakieś spotkania z młodzieżą, wdzierając się na salę i odsłaniając prawdziwą przeszłość prelegenta. Stał się w ten sposób poważnym problemem dla władz miasta. Zamknąć go - nie uchodziło, a poza tym nie wiadomo z czym taki przed sądem wskoczy. Więc mu jedynie grożono, czasem profilaktycznie zatrzymywano na 48 godzin. Ale staruszek był uparty. I tak grzebiąc w ludzkich zyciorysach dociągnął do siedemdziesiątki. W latach siedemdziesiątych ZBOWiD przestał być frontem moczarowców. Stał się tylko administracyjną "czapą" dzielącą coraz nędziejszą jałmużnę przywilejów dla byłych wojaków. Dla zasłużonych 3ejm uchwalił specjalne emerytury. Przeszłość rozmyła się w letniej wodzie gierkowizny. Kogo obchodziła czyjaś okupacyjna

karta? Historia stała się nudną sztempą z podręczników szkolnych. Pan Antoni L. stał się reliktem przeszłości. Traktowano go już tylko jako kłopotliwego staruszka - dziwaka. Nikt nie rozumiał o co mu chodzi, gdy w kolejnym liście udawał, że jakiś H. działacz kombatancki, w czasie wojny był konfidentem Gestapo. Komu dziś po tylu latach chciałoby się to sprawdzić? A pan Antoni L. w swoim mieszkaniu przypominającym komórkę z rupieciami, dalej grzebał w cudzych zyciorysach doszukując się prawdy przeszłości.

6. Poznałem Antoniego L. podczas swojej pracy w regionie "Solidarności". Czerstwy był jeszcze staruszek. Początkowo nie rozumiałem o co mu chodzi. Jakis emeryt demaskujący przeżycia? Czasem były takie, że obfitowały w demaskacje orłów. "Białe plamy" zapisywano pospiesznie na powielaczach. A jednak rozmowa z Antonim L. zauroczyła mnie. Słuchałem go przez kilka godzin, odkładając na bok wszystkie pilne sprawy. Słuchałem opowieści starego "leguna", który całe życie walczył o prawdę. Umówiłem się z nim na kolejne spotkanie. Miało to być 14 grudnia 1981 roku. Jak łatwo się domyślić, zamiast z Antonim L., spotkałem się z czołgami na ulicy. I nigdy już więcej Antoniego L. nie widziałem. Zmarło mu się w tym ciężkim 1982 roku.

7. Losy Polekó... Krzywdy, małych, nad którymi wielki śmiechem wybuchała. Ludzkie losy... Tych co polecili i "poszli w bonatery" i tych co przeżyli... Iść całe życie po linii prostej. Docho- wać wierności samemu sobie. Czy to nie za trudne dla nas żyjących w realnym socjaliźmie?

Jarosław Kapsa

"działacz partyjny"

Wydział Kadr Komitetu Centralnego zwrócił się do mnie z prośbą o napisanie tekstu popularyzującego uprawę działaczy partyjnych. Działacz partyjny jak wiadomo jest rośliną z rodziny psiankowatych /łac. solanaceae/ blisko spokrewnioną z pomidorem kaukaskim.

W latach pięćdziesiątych działacz uprawiany był masowo na polach PGR-owskich przy pomocy granatów p.panc i nawozów sztucznych. W pamiętnym 1956 roku szarańcza przedziorków /białych pajaków/, największych szkodników ludzkości, zaatakowała uprawy nieprzygotowanych działaczy, zjadając im korzenie, a czasem i główki /np. na Węgrzech/.

W latach sześćdziesiątych wprowadzono z ZSRR bardziej szlachetną odmianę działacza, uodpornioną na przedziorki i zaczęto uprawiać bardziej dyskretnie /uprawy przeniesiono z wielkich pól do szklarni/.

Działacz partyjny odmiany szklarniowej był bardzo pożyteczną rośliną. Sprawił się w trudnych latach 1968-70. Sukcesem botaniki i sadownictwa światowego okazała się szczególnie odmiana działacza zwana popularnie "aktywem", charakteryzująca się pustą i twardą łodygą.

Po 1980 roku jak wiadomo pojawiły się w Polsce głosy potępiające nasze sadownictwo. Dając posłuch wrogim poglądom, gdzieś gdzieś zamknięto szklarnie, bądź z wielką szkodą dla upraw, zamieniono je w żłobki i przedszkola. Obecnie uprawiamy działacza w warunkach laboratoryjnych, półkonspiracyjnie. Wielu zasłużonych towarzyszy szczerze centralnego nie mogą pogodzić się z kłamliwymi twierdzeniami rzekomo jakoby działacz partyjny to roślina z zasadą trującą, uprawia działacza na własną rękę i użytek metodą doniczkową.

Kilka porad praktycznych na ten temat.

Nasiona działacza stanowi zwinięta w rulonik legitymacja partyjna wraz z asygnatą na samochód /można ją łatwo rozmnażać przez sadzonki zielne/. Już w dwa lata po cudownym rozmnażaniu profitów, działacz kwitnie i owocuje. Działacz powinien być trzymany w najbardziej słonecznym, południowym oknie. Należy go podlewać obficie dwa lub trzy razy w tygodniu, ale tak, aby woda wylana z góry doszła do samego dołu doniczki.



Działacz nie lubi ciężkiej ziemi. Jeżeli ziemia jest zbyt ciężka, trzeba dodać do niej zbiór wytycznych zmieszany z lepszą perspektywą. Działacz nie lubi także gleb kwaśnych. Zbogacić ziemię pod działacza partyjnego można przez dodanie kompostu, torfu ogrodniczego lub zbioru krzepczych przemówień.

Główną zasadą naszego sadownictwa jest stara leninowska metoda mówiąca o tym, że przy dynamicznym wzroście działacza, należy go czym prędzej przesadzić do większej doniczki. Działacz żywi się właściwie tylko i wyłącznie nawozem sztucznym. Działacz powinien znajdować się w atmosferze nasyconej ideologią, czyli czymś w rodzaju pary wodnej, w przeciwnym razie jego liście wyschną i zwiezną.

Dojrzałość działacza poznajemy po tym, owoce dorastają do właściwej wielkości, chociaż są jeszcze zielone. Te kompletnie zielone owoce należy jak najszybciej zerwać i umieścić na liście członków kandydatów naszej partii. Działacz partyjny być może nie jest tak piękny jak pelargonie, ale jest to roślina wdzięczna i co tu kryć - pożyteczna.

Na koniec pamiętajmy jeszcze o jednym - sadzonki działacza należy otaczać szczególną opieką, trzymając je w jednej garści, gdyż jakikolwiek kontakt z rzeczywistością może okazać się dla nich zabójczy.

Miłych upraw.

prof. dr debiutowany

Krzysztof Skiba

za: "PRZEGIĘCIE PAŁY" Nr 4

za zamkniętymi drzwiami

"Twierdzi on, że nigdy i pod żadnym warunkiem, nie zdradził idei walki o ustrój komunistyczny, o socjalizm /.../. Na podstawie powyższego komisja doszła do wniosku, że Jachimowicz wykazuje paranooidalny rozwój osobowości psychopatycznej. Stan pacjenta należy uznać za chorobę psychiczną". - Diagnoza socwiewskich lekarzy dotycząca komunisty Jachimowicza, który w 1968 r. napisał list do KC z protestem wobec najazdu na Czechosłowację.

Tak się, niestety, /czy też "stety, stety"/ zdarza, że mieszkamy w jednym z najbardziej antykomunistycznych krajów Europy. Przytłaczająca bowiem większość Polaków jest, z krwi i kości, zoologicznymi przykładami zwierzęcego antykomunizmu, i nic się na to nie poradzi. Jeżeli to kogośkolwiek dziwi, to serdecznie zapraszam. Przyjechałem w Polsce /zakładam, że pobyt w naszym kraju byłby na takich samych

warunkach, w jakich my bytujemy/nastraja rewizjonistycznie, po dalszych trzech miesiącach - najzagorzalszy zwolennik pana Marksa nie ma go ochoty spotkać kiedykolwiek, chyba, żeby wyszarpać za brodę. Stąd znaleźć u nas prawdziwego komunista jest równie trudno, jak jezioro o I klasie czystości wód. Nie mogę jednak twierdzić, że ów wrodzony czy wbity w głowę antykomunizm wiąże się z jakimś szerszym, spektakularnym ruchem oporu. Oczywiście, istnieje podziemna "Solidarność", oczywiście, jest szereg, mniej lub więcej, kanapowych ruchów, stronnictw i partii, są też rezolutni chłopcy z WiP. Ale, tak czy owak, opozycja praktyczna stanowi margines życia społecznego. Większość traktuje komunizm /zamiennie real socjalizm/ jako dopust Boży i stara się głównie przeżyć, w miarę możliwości optymalnie dobrze. Dobrze, znaczy tu - na odpowiednim poziomie materialnym, przy odpowiedniej dozie wolności swych zainteresowań, przy pewnej możliwości zachowania godności własnej. Dobrze, znaczy zresztą dla każdego coś innego, stąd indywidualizm i pluralizm Polaków

bierze swe źródło. Prawie każdy Polak, jeżeli posiada jakieś poglądy, to przeważnie trochę inne od drugiego Polaka /ach, ten anarchizm, krzywią się nawiedzeni przywódcy praktyczni/. Łączy ich zasadniczo jedno. Tęsknota, że kiedyś będą mogli żyć i pracować normalnie, w normalnym kraju. Inna sprawa, że każdy sobie trochę inaczej ów normalny kraj wyobraża. Jedno uważają za pewnik - Polska socjalistyczna takim normalnym krajem nie jest.

II

Dążenie do normalności jako program praktyczny. Jakże to niskie, przyziemne. Górnołotne ideologie wstrząsające świat w posadach, obiecujące raj na ziemi, porywające masy wizje - niestety, to u nas nie chwyci. Cukierkami też się można przejeść, a życie z ideologicznym garbem na plecach, skutecznie zniechęca do ideologii. Żyć normalnie, normalnie pracować, normalnie kosztować owoców

swojej pracy. Normalność, gdy w karierze zawodowej decydują zdolności, fachowość. Normalność, gdzie oszczędność wzbogaca, uczciwość popłaca. Ten przyziemny program to tak mało. Ale dla nas - Polaków, dla nas Czechów, Rumunów, Rosjan, Kubańczyków, Wietnamczyków, dla nas homososów to zbyt wiele. W głowach by nam się przewróciło. Bądźmy realistami.

III

Bo komu to w końcu potrzebne. Świat cywilizowany dawno orzekł, iż te barbarzyńskie ludy mają swoje przyzwyczajenia. Chińczycy, na ten przykład, lubią pływać. Mao Tse Tung przepływał Jangcy, a prawie dwa miliony "żółtków" wplaw starało się uciec na Tajwan /części, i to sporej, się nie udało, bo rekiny itp./. Wszystko pewnie dla sportu. Podobnie Wietnamczycy uwielbiają regaty dziurawymi barkami po Morzu Żółtym, a Niemcy z NRD dyscyplinę sportową - skok przez mur. Dziwacy. Świat cywilizowany dostrzega przecież, że we wszystkich krajach "bloku" idzie na lepsze, że Gorbaczow reformuje co się da, a w ślad za nim inni. Zachwył reformami jest tak duży, że już dawno przestano słuchać, co przeciętny Rosjanin czy Polak sądzi o tych reformach. A sądzi brzydko i nieparlamentarnie. Dziwak.

IV

Bo w końcu jest jak jest. Ludzie w "bloku sowieckim" jakoś żyją, a nawet, w porównaniu z okresem sprzed 40 lat, żyją dużo lepiej. Nikt ich masowo nie rozstrzeliwuje, nie umierają z głodu. Czego więc chcieć więcej? A pamiętajmy, iż to właśnie Jalta była kamieniem węgielnym 40-letniego pokoju w Europie. Że Jalta, podobnie jak kiedyś Wersal, pozwoliła światu żyć bezpiecznie, rozwijając się i bogacąc. Wystąpić przeciw Jaltie, naruszyć pokój światowy - niby dlaczego? A później cóż za kłopot! Niegdyś Europa Środkowa słynęła z eksportu żywności, żywiła cały cywilizowany Zachód. Panowie, EWG, nie mogą poradzić sobie z własnymi górami masła, hektolitrami win, tonami mięsa, ma walczyć o wolność dla swego konkurenta. Absurd.

Rołnictwo. A przemysł. Niski koszt robocizny, dobre zaplecze surowcowe. Europa ma dość problemów z krajami Dalekiego Wschodu, aby sobie fundować nowe Hongkongi czy Koree pod nosem. Bądźmy realistami. Zresztą, każdy ma taki rząd, na jaki zasłużył. A szczególnie Polacy. Urodzeni anarchiści - oni muszą mieć silny rząd, bo znowu zrobili jakąś awanturę o Gdańsk czy Kijów i zagrożą pokojowi światowemu. Tak czy owak, argumenty za Jaitą można mnożyć. A nasze szanse na normalność wciąż maleją.

V
Pozostaje jeszcze inne wyjście. Uciec. Wyjechać. Osiedlić się na stałe w jakimś normalnym kraju. Ponad 300 tys. Polaków od r. 1930 to zrobiło. Dla kraju, dla narodu strata nieodwracalna. Ale czy można dziwić się tym ludziom. Możliwe, że jeszcze świeżo po wyjeździe, ich był jest daleki od normalności. Otoczeni, w najlepszym wypadku, pełną rezerwy objętością, błądzący często po omacku w nieznanej normalności. Ale przynajmniej mają szansę. Szansę, której im w Polsce nikt nie da. Szansę na takie życie, jakie w imię realizmu praktycznego, mieszkając w kraju, muszą sobie wybić z głowy. Ostatnio na temat

emigracji rozległ się głos głów Kościoła. "Bolesne zjawisko", "godne pożałowania decyzje", apel do młodych Polaków, aby życie swoje poświęcili krajowi, a nie tułaczce na obczyźnie. Wszystko to słuszne. A nawet jedynie słuszne. Tylko - co dalej? Jeżeli bolesna jest i nieodwracalna strata setek tysięcy młodych, zdolnych ludzi, to zastanówmy się, co im możemy zaoferować, namawiając ich do pozostania w kraju. Ile jest u nas niewykorzystanych zdolności ludzkich, ile zmarnowanych inicjatyw. Czy nie jest to strata większa niż wyjazd z kraju. W pewnym sensie uważam, że korzystniejsze dla nas Polaków

jest, jeżeli wiemy, iż jeden z nas stał się twórcą minikomputera Apple, a inny zrobił karierę jako pisarz czy polityk. Cieszy mnie to tym więcej, bo wiem, że w kraju ci sami ludzie nie mogliby przebić się z najbliższymi projektami racjonalizatorskimi, przepchnąć książkę przez cenzurę, o karierze politycznej nie wspomnę. Łatwiej było w XIX w. Małinowskiemu budować koleje w kraju i dla kraju, Domeyce prowadzić badania geologiczne w Karpatach i to pomimo braku niepodległości, niż obecnie w prawie suwerennej Polsce. A jednak jeden z nich pracował w Peru, drugi w Chile i im nikt tego nie ma za złe. Nie krytykujmy zbyt pochopnie emigracji. Jeżeli to jest bolesne zjawisko - bo jednak jest to dla naszej godności narodowej bolesne - to pamiętajmy, że jest to skutek, a nie przyczyna schorzenia, które nas gnębi. A leczyć należy przyczyny, a nie skutki. Nie upraszczajmy, że głównym motywem wyjazdu jest polepszenie sobie bytu /w domyśle beztrudnie korzystanie z dorobku pracy pokoleń Francuzów, Amerykanów czy Szwedów/. Bo pamiętajmy, że wyjeżdżają z kraju, gdzie zdolność i fachowość niewiele pomagają w życiu, gdzie absurdałne przepisy krępują każdą inicjatywę gospodarczą, gdzie oszczędny traci, a uczciwy jest frajerem, gdzie dobra praca jest beztrudnie marnowana. Ludzie chcą żyć normalnie i chyba mają do tego prawo. Dlatego wyjeżdżają... Choć to dla tych, którzy pozostali, jest bolesne.

JK

18 styczn a br. na komisariacie MO VI, przy ul. Michałowskiego została pobita p. Teresa Surlejska. Po pobiciu zatrzymano ją w areszcie, gdzie przebywała dwie godziny. Następnie zawiezino ją do tępnie w towarzystwie milicjantów wożono ją po szpitalach częstochowskich, aby od lekarzy uzyskać zaświadczenie, że p. Surlejska jest psychicznie chora. Nikt z lekarzy nie wydał takiego zaświadczenia i milicjanci wypuścili poszkodowaną. Pani Surlejska prowadzi od dwóch lat samotną walkę przeciwko kilku producentom-chałupnikom, którzy zakłócają spokój w domu przy ul. Starzyńskiego.

W styczniu br. wystosowano list do Prezydenta CSSR, na ręce Ambasadora CSSR w Warszawie z żądaniem zwolnienia Ivana Polanskiego, Jaroslava Popelka i innych więźniów politycznych. Pod listem udało się zebrać ponad 50 podpisów. Cała akcja - w ramach tzw. "Patronatu" zorganizowana została przez środowisko pisma "Dyskurs".

Tą drogą dziękujemy osobom, które poparły całą sprawę. Jednocześnie z radością informujemy naszych czytelników, że Ivan Polansky jest już wolny. Znanego działacza katolickiego wypuszczono na początku stycznia. W więzieniu przebywa jednak jeszcze Jaroslav Popelka. Jego zwolnienie przewidziane jest na początek marca.

W skład Konwentu Obywatelskiego przy przewodniczącym WRN w Częstochowie wszedł jako przedstawiciel "Solidarności" HBB p. Kazimierz Maciński. Podchodząc z szacunkiem i zrozumieniem do wszelkich form społecznej aktywności uważamy, że

ten krok ze strony przedstawicieli hutników nie był do końca przemyślany. Bowiem zarówno WRN - ciało wybrane głosami 15% obywateli naszego miasta - jak i pochodzący z nominacji Konwent jest ciałem społecznie "martwym" i wciąganie ludzi związanych z "Solidarnością" jest wyrazem daleko idącej manipulacji ze strony miejscowych władz politycznych. Mamy nadzieję, że już niedługo odbędą się wolne wybory do rad narodowych, w których społeczeństwo miasta wybierze swoich autentycznych przedstawicieli.

1 lutego br. w Auli Akademickiej odbyło się spotkanie przedstawicieli zakładów i środowisk niezależnych w ramach Konsulty przy Wydziale Duszpasterstwa Zawodowego Kurii Diecezjalnej w Częstochowie. Inicjatorem spotkania był ks. dr Marian Duda. Na przewodniczącego spotkania wybrano prof. Janinę Ujma. Podczas dyskusji poruszono problemy nurtujące niezależne środowiska w Częstochowie. Przemawiali kolejno: przedstawiciele KIK, NSZZ "Solidarność" w poszczególnych zakładach pracy, przedstawiciele niezależnej inicjatywy gospodarczej, NZS i inni. Inicjatywa powołania Konsulty jest bardzo pożyteczna, ponieważ dobrze służy dziełu integracji różnorodnych grup o odmiennych niekiedy poglądach. Postanowiono, że spotkania będą się odbywały regularnie. Padło kilka propozycji co do form bieżącej działalności.

Konieczne wydaje się powołanie sekretariatu Konsulty, bądź zespołu d/s związków zawodowych, który pełniłby stałe dyżury. Ta ostatnia propozycja jawi się jako niezbędna w obliczu wzrastającego zainteresowania powoływaniem zakładowych komitetów "Solidarności".

Laureatem nagrody POLKUL-u z naszego regionu był w 1986 roku Zbigniew Muchowicz, przebywający obecnie w Szwecji.

N.D. za 5.000

W ZZG "Veritas" lista deklarujących się do "Solidarności" objęła 70% załogi, włącznie z dyrektorem.

druk **ADL** WYDAWNICTWO
PRASOWE